Tom XIX. Nr. 13.

1. listopada 1868.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.



DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Dzień zaduszny.

Od niepamiętnych czasów, nim jeszcze wiara nasza święta zaprowadzoną została, modlono się za umarłych, bo nawet poganie wierzyli że dusza człowieka nie umiera, lecz przenosi się do innego świata, po nagrodę lub karę; a u niektórych narodów pogańskich, jak niegdyś tak i dziś jeszcze, żony po śmierci mężów zadają sobie śmierć na ich grobach, wierząc, że ich dusze z duszami mężów znajdą się i połączą w szczęśliwszej krainie.

My chrześcijanie za barbarzyństwo poczytujemy takie pogan uczynki, a za grzech nieodpuszczony, zabójstwo popełnione po śmierci choćby najdroższej osoby. Wiara nasza nakazuje nam tylko modlić się za umarłych, a kościół wyznaczył nawet dzień osobny w roku na odprawianie tego nabożeństwa. Dzień ten nazywa się **zadusznym** i przypada nazajutrz po **Wszystkich Świętych**.

Nabożeństwo zaczyna się już w dniu Wszystkich Świętych po południu, żałobnemi nieszporami z wystawieniem katafalku

pośrodku kościoła. Nazajutrz lud pobożny od rana ciśnie się do kościołów, msze wychodzą jedna po drugiej, a ubodzy snują się tłumami, prosząc o jałmużnę. Jeżeli szczera z głębi duszy modlitwa i jałmużna ma uratować dusze rodziców, dzieci i krewnych albo przyjaciół z mąk czyśćcowych i wyprowadzić je ztamtąd do królestwa Bożego, któżby takiego datku odmawiał niemającym z nikąd ratunku?

Po nabożeństwie wszystkie bractwa udają się w procesii na cmentarz, gdzie także w kaplicy odprawia się nabożeństwo. często z kazaniem, a potem każdy odwiedza groby swoich krewnych i przyjaciół. Spieszy więc żona na grób męża, dzieci zlewają łzami groby rodziców, zdobią je w kwiaty i wieńce. W niektórych miastach istnieje nadto zwyczaj, że wieczór, gdy już zupełnie zciemnieje, pobożni zapalają świece i lampy na wszystkich grobach cmentarza. Od niezliczonego mnóstwa świateł noc w dzień się zamienia, a miejsce wiecznego smutku i żałoby ożywia się tkliwemi modły i rzewnemi łzami tłumów, które tu snują się do późna. We wszystkich sercach wezbrane uczucia tęsknoty i żalu po zmarłych zlewają się w modlitwę i jak woń kadzidła płyną ku niebu z tysiąckrotnie powtórzonem westchnieniem: Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie!

Pomiędzy ludźmi nieoświeconymi utrzymują się w wielu miejscach naszego kraju rozmaite o dniu zadusznym przesądy. Prawie powszechną jest wiara, że w dniu zadusznym w nocy dusze zmarłych schodzą się do kościoła i tam się modlą nim kur zapieje i północ wybije; ale to wszystko są baśnie, które kościół potępia, a nawet zdrowy rozsądek wierzyć w nie nie pozwala.

Rolnik i ptaszek.

Wojtek Dąbrowa siadł przy okienku,
Prześlnicę struże swojej kobiecie:
Struże — wystruże snać należycie,
Bo kozik tylko miga mu w ręku,
A suche wióry lecą w około.

Dziatwa je chwyta krzycząc wesoło.
I choć wiatr chłodny wieje na dworze,
Nikt w ciepłej izbie coś się nie smuci;
Tylko ptaszyna jakaś nieboże,
Siedząc na płocie, żałośnie nuci,
Jakby się chciała ludziom poskarżyć,
Że zima idzie świat mrozem warzyć.
Wojtek Dąbrowa uciszył dzieci,
Raz się za razem spojrzy w okienko,
A chociaż słonko blado tam świeci,
On się odzywa taką piosenką —
Taką piosenką ojczystej nóty,
Z łąk i pól, gajów szumu wysnutej:

Szara ptaszyno! ranną godziną
Wstaliśmy sobie śpiewacy,
Lecz głos twój drżący, jak jęk skarżący,
A ja się śmieję przy pracy.
Śmieję się śmieję, bo choć wiatr wieje,
I blade chmurzą się nieba,
Ciepłą mam chatkę, dostatnią szatę,
Da Bóg, nie braknie mi chleba,
Lecz ty nieboże, w jakiej komorze,
Złożyłeś twoje zapasy?
Gdzie wasze chaty, rodzie skrzydlaty!
Na owe mroźnych dni czasy?
Gdzie? pustki w koło!... i już wesoło
Lasy nie nęcą zielone;
Wionęła zima, pszeniczki nie ma,
Zniknęły kłosy złocone.
Ha! cierpieć trzeba, wyroków nieba,
Niewczesna skarga nie zmieni,
Kto wiosnę całą igrał niedbało,
Plonu nie znajdzie w jesieni...
Pamiętasz może, w tej ślicznej porze,
Gdy się świat pierwszy rozwinął,
Jam pochylony, orał zagony,
Z czoła perlisty pot płynął;
Ty między krzaczki, goniąc robaczki,
W słodkiej bujałeś swawoli;
Brzmiały piosenki, mnie Bogu dzięki
Ziarnko wschodziło na roli;

Nadeszło lato, trudów zapłatą,
Plon się uśmiechnął nie marny,
W wieśniaczym domu, sobie i komu
Będzie chleb zdrowy, choć czarny,
A okruszyny z ręki dzieciny
Znajdą się ptaszku i tobie;
Lecz na podziękę, taką piosenkę
Zanuć jej w chłodnych dni dobie:

— Synu wieśniaka, przykładem ptaka
Naucz się starej tej prawdy:
Kto w wiosnę całą igrał niedbało,
W zimie głód będzie mrzeć zawdy.

M. J.

OKOLICE KRAKOWA.

Okolice Krakowa słyną z piękności w całym świecie. Radzibyśmy obznajomić z niemi naszych czytelników, ale nie starczyłoby nam miejsca, gdybyśmy chcieli opisać dokładnie wszystkie tamtejsze miasteczka i wioski, kościoły i pałace, osobliwości i pamiątki — i ledwie będziemy mogli wymienić w krótkości co tam jest godniejszego widzenia.

Owóż najprzód w zachodniej stronie, tuż za miastem leży **góra św. Bronisławy**, gdzie niegdyś ta święta odprawiała na osobności nabożeństwo. Na szczycie góry wznosi się usypana rękami ludu polskiego wysoka **mogiła** ku czci Tadeusza **Kościuszki**, męża najzacniejszego w świecie i wielkiego wodza, który choć miał prawie królewską władzę w ręku, nie sromał się chodzić w chłopskiej sukmanie i chłopskiej czapce, za co Pan Bóg tem go nagrodził, że mu pozwolił na czele chłopów krakowskich uzbrojonych tylko w kosy i piki świetne zwycięztwa odnosić nad Moskalami, choć ci mieli bagnety i armaty. Ze szczytu tej góry widać jak na dłoni całe miasto Kraków z wspaniałemi świątyniami i zamkiem niegdyś królewskim, dziś — co z bolem serca wyrzec przychodzi — żołnierstwu na mieszkanie oddanym. Dołem stara Wisła płynie

poważnie, przecudne wioseczki krakowskie uśmiechają się na około, a daleko, daleko, widzisz szczyty gór tatrzańskich wiecznym ubielone śniegiem. Kto tutaj stanie a popatrzy przed siebie, nasycić się nie może cudnym widokiem i radby tutaj życie całe przepędzić, aby bez ustanku patrzeć a patrzeć na ten cudny świat polski.

U stóp góry św. Bronisławy kilka pięknych leży wiosek, z tych najbliższą jest miasta Krakowa Wola Justowska z prześlicznym pałacem, zbudowanym niegdyś na wzór zamku królewskiego przez możnego pana, którego była własnością. Niedaleko ztąd ciągnie się pośrodku wzgórz lesistych pasmo skał najcudniejszych kształtów zwanych Panieńskiemi skałami, uwieńczonych w drzewa i krzewy, co prawdziwie zachwycający sprawia widok. Z drugiej znowu strony, już za górą św. Bronisławy wznosi się nad Wisłą wielka góra cienistem lasem porosła, zwana Bielany. Na jej szczycie bieleją mury kościoła księży Kamedułów, którzy tu pustelniczy wiodą żywot. Każdy ma osobny domek, w którym mieszka, i ogródek, który uprawia, a cała ta pustelnia otoczona jest murem wijącym się po urwiskach skał. Księża Kameduli poszczą prawie przez cały rok i tylko w niektóre dnie wolno im rozmawiać ze sobą. Podobnie też tylko w pewnych dniach roku kobiety mają dozwolony przystęp do ich kościoła. Wówczas zjeżdża się tu mnóstwo ludu z Krakowa i cicha pustelnia ożywia się na kilka godzin wesołym gwarem.

Niemniej pięknem miejscem acz w innej stronie i już w równinie położonem jest wioska Łobzów,* ulubione niegdyś miejsce pobytu króla Kazimierza W. Miał on tutaj letni pałac, w którym chętnie przepędzał wolne chwile i nawet najbiedniejszych chłopków przypuszczał przed swój majestat, czego pamięć żyje jeszcze pomiędzy ludźmi, a pieśń mówi:

Niegdyś królem chłopków zwany,
Sprawiedliwy i kochany,
Bo za prawem rządził
I sumiennie sądził.
I wziął Polskę budowaną,
A zostawił murowaną.

W tem miejscu gdzie stał niegdyś pałac króla Kazimierza, jest teraz szkoła wojskowa.

Z wielu innych wiosek krakowskich, z których każda szczyci się albo osobliwie pięknem położeniem, albo też dziwną urodzajnością ziemi, która nie rzadko bywa tak wielką, że jeden średniej wielkości zagon przynosi właścicielowi rocznie tysiąc złotych polskich czystego dochodu — wymienię tu jeszcze Prądnik, sławny z wypiekanego tam przez włościan chleba, o którym znowu jest pieśń taka:

Oto idzie z łaski boskiej
Chleb prądnicki, chleb krakowski!
By u wozu przednie koło
Toczy do dom się wesoło.

Na ci Bartku, łepski chłopie,
A nie poleń się przy snopie!
Na ci Maćku nieboraku,
A pamiętaj o koniaku.

Święć się wielki Boże w niebie!
A na ziemi polski chlebie!
Tobą to się kmieć obdzieli
Od niedzieli do niedzieli.

Ba i Kachnie widzę pachnie
I Marynie przy kominie.
Na i tobie psie kudłaty!
A bresżże mi koło chaty!

Pierwszy kąsek dla matusi,
Przewybornej wart gębusi;
A dla dziatwy kąsek drugi..
Nuże w koło stańcie sługi!

Resztę niechaj mać przysporzy,
Jeżli czeladź nie dołoży;
Święć się wielki Boże w niebie,
A na ziemi polski chlebie!

W Podgórzu już za Wisłą leżą skały Krzemionki; tam wznosi się mogiła odwieczna, usypana księciu Krakusowi co Kraków zbudował. Dobry to był pan; lud go kochał jak ojca, toż na jego grób nanosili ludzie ziemi rękami aż góra urosła. Rocznicę usypania tej mogiły dotąd obchodzą Krakowianie rok rocznie we wtorek Wielkanocny. W dniu tym schodzą się tłumnie do mogiły Krakusa i gwarzą tam o dawnych lepszych czasach, a najwięcej o ojcach i dziadach swoich, którzy także tam się schodzili; skupują chleb i bułki i rzucają z góry ubóstwu.

Obchód ten, który już prawie od tysiąca lat, rok rocznie zawsze jednakowo się odbywa, nazywają Rękawką.

Zielona trawa, zielona,
A stara Wisła spieniona!
Hen na Podgórzu Rękawka
I wielkanocna zabawka!

Niby krzemień chłop krakowski,
Bieda, krzesiwo ze stali,
A jak się próchno podpali,
Zniknął z Krakowa i troski!

A na Rękawkę się sypie
Naród z Krakowa po moście;
Ciesz się narodzie na stypie —
Bywa Wielkanoc po poście!

Zielona trawa, zielona,
Słońce przygrzewa z zachodu,
Na kopcu pełno narodu,
A stara Wisła spieniona.

Po tym Krakusie została córka Wanda i panowała cnotliwie, ale jak mówi podanie, gdy pewien książe niemiecki chciał ją przemocą pojąć za żonę i w tym celu kraj polski najechał i pustoszyć zaczął, utopiła się w Wiśle, nie chcąc zostać żoną cudzoziemca, ani ludu swego gubić w wojnie. I jej także usypali Krakowianie mogiłę taką jak ojcu, którą też godzi się zwiedzić.

O dalszych nieco okolicach Krakowa opowiemy wam w najbliższym numerze.

Skarby ziemi.

Powiastka Bartka Szkolarza.

Świadczę się Bogiem i sumieniem, że gdyby mi dał kto do wyboru wielki worek złotych pieniędzy a kawał naszej pięknej polskiej ziemi, wybrałbym natychmiast nie złoto ale rolę, wolałbym zostać rolnikiem niżeli bogaczem.

Gdym tak mówił do mego sąsiada Walentego, roześmiał się na te słowa i odpowiedział:

— Co też wy mówicie panie Bartłomieju! Bodajto mieć pieniądze w szkatule i żyć z procentu! Człowiek nie potrzebuje pracować, siedzi z założonemi rękami a kapitał wydaje procent, z którego można się utrzymać i jeszcze od biedy nowy kapitalik złożyć. Nie tak dzieje się nam rolnikom biednym. Nam potrzeba ciągle mozolnie pracować na ten skąpy kawałek chleba. A gdyby tak chciał kto opuścić ręce, to chyba mu z torbą iść pomiędzy ludzi i prosić o jałmużnę.

— Nie obrażajcie taką grzeszną mową pana Boga, mój kochany sąsiedzie — odpowiedziałem Walentemu. Mówicie że kapitalista nie pracuje, a ma ciągły zarobek. Prawda; ale czy zarobek taki co spadł nam do kieszeni ni ztąd ni zowąd ucieszy tak człowieka jak ten mały kawałek chleba, który

sobie ciężką pracą u Boga wysłużył? A do tego jeszcze człowiek taki wystawiony jest na ciągłą pokusę. Widzi, że pieniądz niesie mu procent dobry, złakomi się łatwo o większy jeszcze a tak pokrzywdzi bliźniego i obrazi przytem Boga. Bodajto być rolnikiem! Rolnik to jakby był w spółce z Panem Bogiem. Pan Bóg zwilży mu deszczem ziemię, by ją dobrze zorał i ziarnem zasiał. A gdy już zasiew spoczął w ziemi, Pan Bóg znowu łaskaw, każe słoneczku ogrzać ziemię, by ziarno zakiełkowało i na wierzch się wykłuło. I nie koniec na tem. Ciągle jeszcze Pan Bóg łaskaw, ciągle doziera naszego zasiewu, ciągle go zrasza deszczem i ogrzewa słońcem aż w końcu daje człowiekowi gotowy, bogaty plon do ręki. Bodaj to być rolnikiem!

Widać że słowa moje trafiły do przekonia Walentego, bo przy końcu nawet wyraźnie głową potakiwał. A że ja po skończonej robocie lubię bardzo z sąsiadem od serca pogawędzić, więc prawiłem dalej:

— Cudowny to prawdziwie wpływ wywiera ziemia na mieszkańców, którzy ją uprawiają. Przed bardzo wielu laty przebiegały Europę dzikie narody, którzy nie znali ani Boga ani ojczyzny, ani świętości związków rodzinnych. Mord, rabunek i pożoga były dla nich hasłem i celem życia. Dopiero gdy poznały uprawę roli, osiadły stale na pewnej części ziemi i przywiązały się tak do tej swojej ojczyzny, że już nigdy odtąd nie nawidzały innych zaniepokojonych narodów. Ci dzicy ludzie poznali teraz, co to jest ojczyzna, powzięli świętą miłość ku ojczystej ziemi, i w skutek tego postępowali coraz bardziej w ogładzie i oświacie.

Walenty słuchał a słuchał tak uważnie, że nie mogłem się powstrzymać w tej przyjemnej gawędzie, mówiłem więc dalej:

— A cóż to dopiero mówić o naszej polskiej ziemi! Jak piękna musi być ona, kiedy w nieszczęściu naszem jak kruki zbiegli się Niemcy i Moskale by ją nam wydrzeć. Ale daremnie, bo Polak woli dziesięć razy ginąć, niżeli odstąpić kawałek swej ziemi obcym najezdnikom. Gdzie tylko uśmiechnie

się jaka nadzieja odzyskania wolności i zabranej ziemi polskiej, każdy rzuca zaraz lemiesz a sięga po szablę i spieszy do boju! O tak! Cudną musi być ziemia nasza, kiedy tylu Czechów i Niemców co tu do nas za chlebem przychodzą, zapominają nawet o swojej ojczyźnie i nie ustępują się nigdy z polskiej krainy, która im się lepszą i piękniejszą od ich ziemi rodzinnej wydała!

Tu przerwałem moje opowiadanie. Widać, że mocno trafiłem do przekonania memu sąsiadowi, bo uścisnął mię serdecznie i rzekł do mnie:

— Świętą prawdę mówicie mi Bartłomieju! Widać zaraz że nie nadaremnie otarliście się o szkołę i książki. Za żadne pieniądze w świecie nie oddałbym kawałeczka mej skiby ojczystej.

Jakoż niezadługo przekonałem się, że nauka moja nie poszła w las, a Walenty wziął sobie słowa moje mocno do serca. Opowiem to zdarzenie, a przekonacie się sami, że wam tu szczerą prawdę mówię.

Walenty miał kilkanaście morgów pola, i jak ludzie mówili, nie próżną kabzę, bo umiał dobrze gospodarować i żyć skromnie. Brat jego Jan sąsiadował z nim na mniejszym o połowę gruncie, nie był wcale zamożnym, bo nie znał się i nie chciał się znać dobrze na gospodarce. Trudnił się więcej furmanką niżeli gospodarstwem, bo był łatwiejszy, a dla każdego leniucha i wygodniejszy sposób zarobkowania. Ale zarobek z furmanki jest niepewnym, nieraz można dużo zarobić, ale potem wypadnie na nową sposobność czekać bardzo długo. Tu nieraz nie stało Janowi pieniędzy na podatek i potrzeby domowe. Wtedy udawał się do ludzi, którzy mieli gotówkę i pożyczał nie wiedząc wcale zkąd i kiedy te ciągle rosnące długi pospłaca.

W tej samej wsi mieszkał Niemiec Hans Teifel. Przyszedł on jak tylu innych przybłędów, pieszo z Niemiec, z próżną zupełnie kieszenią. Po kilku latach rozmaitemi zabiegami i krętactwami

dobił się sporej sumki, za którą na publicznej licytacyi kupił sobie kawał gruntu po zmarłym kmiotku. Odtąd dobrze mu się już wiodło, powiększał w ten sam sposób swój majątek, chociaż ciągle przytem mocno wyrzekał na polską ziemię i polski ludek. Tak to wszyscy robią ci Niemcy, co nieproszeni wcale weisnęli się w nasz kraj i spanoszyli się na naszej ziemi, by potem jeszcze odpłacać się taką niewdzięcznością. Mój Boże! Zamiast złości i nienawiści zbiera mi się na śmiech pusty. Ci przybłędy myślą może, że nam swoją obecnością jaką wielką radość sprawiają. Nie wiedzą może, jakby nam miło było widzieć naszą polską ziemię wolną zupełnie od tego obcego śmieciska. Pożegnalibyśmy ich — krzyżykiem na drogę.

Hans Teifel zasmakował snać bardzo w naszej ziemi, bo starał się ustawicznie o to, by jej z czasem jak najwięcej posiąść. Więc skoro tylko zmiarkował, że chłopek jaki potrzebuje pieniędzy, sam mu je do ręki wpychał i prosił, by się w potrzebie zawsze do niego udawał. A tymczasem okiem swem nienasyconem mierzył jego pole i w duchu czekał z upragnieniem tej chwili, w której dłużnik zubożały do reszty, zrzec się będzie musiał dla skąpej zapłaty ziemi ojców swoich.

U niego to tożsamo zadłużał się mocno Jan.

— To woda na mój młyn — myślał chytry Niemiec — Zadłuży się mocno, nie będzie miał zkąd oddać, dodam mu jeszcze cokolwiek i wezmę grunt jego. Bieda nie spi nigdy. I jego bratu, temu bogaczowi, braknie może pieniędzy — pożyczę, a gdy i jego grunt połknę, będę miał całą wieś w kieszeni!

Hans nie omylił się w swojej rachubie. Jan po całorocznem złem gospodarstwie popadł na przednowku w taką biedę, że tylko jakaś nowa pożyczka mogła go jeszcze ocalić z najokropniejszej nędzy. Ale o pożyczkę nie tak już tym razem łatwo było. Do brata swego Walentego nie miał Jan śmiałości nawet, bo winien mu był już dosyć. A do tego jeszcze nie żył z nim w zgodzie, bo Walenty jako poczciwy człowiek i starszy brat, naganiał go do pracy, a nieraz nawet ostro za lenistwo skarcił. Jan zamiast za tę mądrą radę i naganę brata opamiętać się i wziąść do pracy, rozgniewał się jeszcze na

Walentego i przysiągł sobie, nie odezwać się nawet do niego, choć ten w każdej chwili był gotów pogodzić się i wesprzeć zubożałego brata.

W takim stanie rzeczy nie pozostawało dla Jana już nic innego, jak tylko udać się do swego ryczałtowego wierzyciela, Hansa Teifla. Ale i ten choć w duszy rad był pewnie, że z tym nowym długiem nabędzie tem więcej pretensyi do pięknych zagonów Jana, zaczął się także z początku wymawiać.

Ale Jan prosił go bardzo, więc on też niby to ulegając tej prośbie, przystał wreszcie na nową pożyczkę.

Hans załatwiał wszystkie swe interesa w karczmie, bo tam w przebiegłym Herszku miał dzielnego sprzymierzeńca. W karczmie więc zastajemy Jana siedzącego za stołem z Hansem przy pełnej flaszce wódki, której żyd na rachunek dłużnika sporo zawsze dostarczał.

— Bo to widzicie mój kochany sąsiedzie — prawi Hans powoli wykrzywiając szatańsko swe usta po świeżym hauście obrzydliwej gorzałki — nie można tak ciągle pożyczać i pożyczać, a o oddaniu nigdy i nie pomyśleć. Mnie już nie stanie pieniędzy na pożyczkę, a wy zabrniecie tak daleko, że nie będziecie mieli zkąd oddać. Wy możecie potem pójść z torbą, i ja za moje dobre serce toż samo, bo wasz grunt i chałupa z pewnością nie wystarczą na zaspokojenie wszystkich wierzycieli.

— Sama prawda — wtórował żyd cmokając ustawicznie — A gdzie prowizia? a gdzie jeszcze nagroda za wygodę? Ha?

Jan siedział zadumany i na pół uspiony czwartym kieliszkiem wódki. Na twarzy jednak prócz widocznych śladów nałogowego pijaństwa, nie dostrzegłbyś żadnego smutku ani chwilowego zmartwienia.

Wreszcie po chwili ocknął się i rzekł nieco przytomniej:

— Et robicie już z komara małego Bóg wie jak wielkie zwierzę. Na wiosnę będę woził kamienie i drzewo do miasta gdzie właśnie kolej budować zaczną, zarobię dużo pieniędzy i oddam wam wszystko. Bo musicie także wiedzieć, że tam

płacą doskonale. Przy kolei już niejednego biedaka zrobiła lekka nawet robota wielkim bogaczem.

Hans połknął nowy kieliszek wódki, wykrzywił twarz okropnie i zaczął mówić powoli:

— Dobrze mówicie panie sąsiedzie. Przy budowie kolei można bardzo dużo zarobić. Ja sam nawet pojadę tam z mojemi końmi, bo z roli samej trudno wyżyć. Ale ja wam dam jeszcze lepszą radę. Dwom panom nie można nigdy służyć, jak wy to robić chcecie. Radzę więc wam zaniechać zupełnie głupiego gospodorstwa. Dałbym wam wtedy nawet więcej pieniędzy niżeli pożyczyć dzisiaj chcecie, podarłbym jeszcze do tego wasze dawne weksle, ale grunt wasz mizerny już moim będzie na zawsze.

— Mizerny! — zawołał nieco rozgniewany Jan.

— Grunt ten wart jest zawsze — prawił dalej uspokojony już Jan — najmniej dwieście reńskich, a weksle i dodatek wasz czyni razem tylko sto dwadzieścia. Odstąpię wam rolę, ale dodajcie tyle, ile wartość wynosi.

Żyd i Niemiec roześmiali się na te słowa.

(Dok. nast.)

Mrówki i pszczoły.

Mrówki i pszczoły są najskrzętniejsze w pracy zwierzęta, i zawsze uwagę ludzi na siebie zwracały. Mrówki swoją zabiegliwością bardziej nas jeszcze zajmują niż pszczoły. Jak to biega, pędzi cwałem i roi się w mrowisku, albo na drodze kiedy swój materjał budowlany, lub pokarm do swego mieszkania zawłóczy. Często wędrownik w pochodzie wstrzymuje się z podniesioną nogą, żeby ten czarny ludek nie doznał szkody, lub żeby go nie zdeptać bezkarnie, gdy w poprzek gładko udeptanej ścieżki, igiełki sosnowe albo maleńkie drzazgi jak belki mozolnie zawleka do domu, lub małe żyjące albo i martwe zwierzątka, ziarnka i okruszynki, także cząstki z większych zwierząt, owoców, miód, cukier i słodkie soki, jako swoje ulubione pokarmy, zanosi do swojej zagrody.

W ciągłym ruchu, w rozlicznym rozchodzą się kierunku, a zawsze spiesznie, ochoczo; w spotkaniu jakby dla powitania się i porozumienia, uderzają o siebie wzajemnie i zawsze do dania pomocy są gotowe, jeźli spotkana siostrzyczka dźwiganemu ciężarowi podołać nie może.

Zajmująca jest ich troskliwość o małe poczwarki, niewłaściwie mrówczemi jajami zwane, te bowiem są nader maleńkie, białe i lśniące. Jeżeli wybrane z mrowiska poczwarki, rozrzucone zobaczą, natychmiast z całą gorliwością zbierają je, i do swoich zabudowań odnoszą; jeżeli ziemia jest sucha, to składają je w dolnych salach swoich, a jeżeli za wilgotna, wtedy pielęgnowane przedmioty swej troskliwości, znowu na górę wynoszą; jeżeli słońce świeci na bliskie płaskie, a wklęsło leżące kamienie i ogrzewa je, to składają tam wtedy poczwarki, jakby do wylężenia w rozgrzane to wydrążenie.

Nie wiadomo dla czego zbierają żywicę, jak i dla czego nieużyteczne na pozór chodniki zakładają, i jak dla przyjemności tu i ówdzie biegają i na wszystkie strony rozlatują się i wracają z pospiechem. Widać pomiędzy niemi ruch i rojenie się bez końca, jak to niekiedy widzimy człowieka, który od wczesnego rana aż do zmroku kręci się po wszystkich kątach, tysiące czynności rozpoczyna, i na bok odkłada, i pomimo gorliwego zajęcia się bez wytchnienia, nic, lub mało co uskutecznia.

Pszczoły wcale w inny postępują sposób: co tylko przedsiębiorą, to zawsze w jakim widocznym zamiarze i celu. Każda z nich pracuje oddzielnie i dokonywa jaką część podjętej przez siebie pracy. Jedne czyszczą ul z pleśni i zbutwienia, drugie rozlatują się do zbierania miodu, za pyłkiem i mączką kwiatową i wodą; inne budują komórki na plastry miodu, te zalepiają szpary i rysy w ścianach, tamte chodują młode potomstwo, inne znowu mają obowiązek nawiewania świeżego powietrza do ula; inne trzymają straż przy otworze do wylotu, a nawet opuszczają ul niekiedy dla wyszukania sobie innej siedziby, kiedy cały rój wydalić się zamie-

rzył. W ich gospodarstwie rozliczne zatrudnienia są uporządkowane i między domowników porozdzielane, nigdzie ich nie ma zanadto, lub za mało, jedno drugiemu w niczem nie jest na zawadzie i cała ogólna robota w zadziwiającym odbywa się porządku. Dla tego też pszczoły do wyższej doskonałości doprowadzają swój zarząd domowy, niż mrówki. Te wprawdzie budują sobie niekształtny dom z nieregularnemi komórkami i gankami, gdzie i w zimie mogą przebywać; ale nigdy nie przysposobią sobie zapasów, któreby im w zimie i w pierwszych chwilach wiosny pokarmu użyczyły; z nadejściem przeto jesieni mdłe, zmorzone głodem wpadają w omdlenie i pozornie martwe ożywiają się dopiero na wiosnę przy powiększającem się cieple i możności znalezienia pokarmu.

Pszczoły przeciwnie urządzają sobie kunsztowny dom, prawdziwy pałac z wosku, i przez całe lato napełniają piękne, gładkie przegródki miodem, który w późnej jesieni i zimie za pokarm im służy. Są przytem oszczędne, i tylko tyle miodu spożywają, ile im w czasie zimna, w gęste roje skupionym koniecznego ciepła do życia potrzeba, bo najniebezpieczniejsza chwila niedostatku zjawia się dla nich dopiero ku wiośnie kiedy je słońce z ula wywabia, i one sposobią się do życia czynnego na otwartem polu, a tymczasem zimna i nowe burze znowu powrócą i rozwinięcie się kwiatów opóźnią; po daremnem wtedy po łąkach bujaniu umordowane i głodne do siebie wracają. Wtedy zaoszczędzony zapas wybornie smakuje i na nowe rozwinięcie się kwiatów bez troski mogą zaczekać.

Mrówki i pszczoły ważną z siebie dają nam naukę. Gorliwość i pilność w domowem zajęciu, niedostateczna jeszcze; konieczny jest nadto porządek, jeżli gospodarstwo uwieńczyć ma skutek pomyślny. Bezpożyteczne po wszystkich miejscach krzątanie się, rozpoczynanie i porzucanie roboty, nie przyczyni się do postępu dzieła, i niczego nie przywiedzie do końca. Jeżeli wielu ma udział w jednem zatrudnieniu, to każdy winien mieć swoją robotę na doręczu dla drugiego gotową; tak i w dobrze urządzonem gospodarstwie, każdy ma sobie wyznaczoną

pracę, i tę w swoim czasie dokładnie wykonywa, żeby następna ręka nie czekała na niego, i nikt na próżno czasu nie tracił.

Ludzie nie jako mrówki, ale jako pszczoły mają być pilni, staranni i wytrwali w pracy.

Waw. Cz. naucz. z Brz.

Jak zapobiedz zsychaniu, paczeniu i pękaniu drzewa?

Ażeby drzewo użyte do budowy lub na budulec nie zsychało się, nie paczyło i nie pękało, trzeba się najprzód starać aby ile możności jak najlepiej wyschło. Drzewo wysycha bardzo dobrze, gdy je przed ścięciem na wiosnę z kory ogołocimy, z wyjątkiem gałęzi, i zostawimy na pniu do jesieni. Ale tego sposobu może używać tylko ten, kto ma swój las; kto zaś już ścięte drzewo kupować musi, suszy je wystawiając na przeciąg powietrza. Przytem uważać trzeba, aby drzewo nie schło za prędko, bo wtedy pęka, ani za powoli, bo pruchnieje. Najlepiej ułożyć materjał pod dachem przewiewnym. Przedewszystkiem trzeba drzewo z kory ogołocić, bo kora przeszkadza schnięciu. Ale żeby drzewo nie schło za prędko, dobrze jest ogołacać je z kory częściowo, od dołu do góry. Przyczołki belków krąglaków oblepiają się papierem, gliną lub powlekają olejną farbą, aby wilgoć zbyt prędko nie uchodziła, bo przez to drzewo pęka. Drzewo ułożone pod dachem powinno leżeć na podkładach i należy je od czasu do czasu przekładać. Podkładki zaś powinny leżeć pod samemi końcami drzewa, ale najlepiej jeżeli drzewo na pół z kory ogołocone, ustawimy storcem w kozły. Starać się trzeba aby materyał sechł już na pół przyrządzony, to jest pokłuty, porąbany lub w deskach. Drobne kawałki wysuszają stolarze zasypując je piaskiem mocno rozgrzanym na ogniu. Czasami gdy chcemy zabezpieczyć drzewo od pękania, powleka się je olejem, farbą olejną lub smołą, ale jeżeli się powlecze drzewo jeszcze nie całkiem wyschnięte, to zamiast pożytku przyspiesza się tylko

jego pruchnienie; olej dobrze użyty, chroni drzewo od robactwa, zgnilizny i paczenia się.

Najskuteczniej zapobiega się paczeniu drzewa przez wypędzenie soków napełniających jego włókna. To się odbywa przez wymoczenie drzewa w wodzie zimnej lub gorącej. W pierwszym razie wkłada się drzewo w płynącą wodę tak, aby starszy koniec czyli odziomek był obrócony ku prądowi wody; woda przechodząc przez pory drzewa, rozpuszcza i zabiera z sobą jego soki. Drzewo musi tak przynajmniej trzy lata leżeć w wodzie, nim skutek będzie zupełny, bo woda bardzo powoli wciska się w pory. Wymoczenie wodą gorącą odbywa się tak, że drzewo na pół obrobione wkłada się w kocioł napełniony wodą i roznieca się pod nim ogień, póki woda nie zakipi Jeżeli chcemy bardzo wielkie kawałki drzewa wyparzyć w wodzie gorącej, wkładamy je w odpowiedniej wielkości naczynie drewniane i rozgrzewamy wodę za pomocą pary.

RÓŻNOŚCI.

Niemiłosierny woźnica. Ciekawy szczegół podają gazety z jednej przejażdżki teraźniejszego cesarza austryackiego. Pojazd cesarski dojeżdżając do mostu w mieście Budzie w Węgrzech, spotkał wyładowaną brykę, której jednak ciężar przewyższał o wiele siłę pary wychudzonych koni. Niemiłosiernie też woźnica smagał batem biedne szkapy, które odmawiały widocznie posługi swojemu panu i cierpliwie znosiły srogie batożenie, nie mogąc dalej pociągnąć bryki. Cesarz kazał stanąć i zapytał nielitościwego furmana, czy nie wie że zakazanem jest pastwić się nad zwierzętami i przeciążać konie zbytnim ładunkiem, czy nie wie że za takie nadużycie mógłby być uwięzionym?

— To do pana nie należy — odrzekł woźnica, widocznie nieświadomy do kogo przemawia — z mojemi końmi wolno mi robić co mi się podoba i sam cesarz nie ma mi nic do zakazywania.

Na taką odpowiedź cesarz nie odrzekł słowa, ale żołnierz ze straży cesarskiej, który dotychczas w milczeniu się przypatrywał, zbliżył się w tej chwili i przyaresztował owego woźnicę, który dopiero teraz dowiedział się z kim miał do czynienia i do kogo tak zuchwale przemawiał.

Z drukarni odpowiedzialnego redaktora i wydawcy: E. Winiarza.